INTERNET ARCHIVE WaybackMachine
https://encysol.pl/wiki/Relacja:Krzysztof_Bzdyl Go
3 captures
10 Jun 2019 - 24 Oct 2020
AUG OCT NOV
24
2019 2020 2021
About this capture

Relacja Krzysztofa Bzdyla

W moim domu bardzo krytycznie podchodzono do tworu jakim był PRL. Uważano, że kraj jest pod okupacją sowiecką sprawowaną za pośrednictwem PZPR, a panujący polityczny system za zakłamany, oparty na przemocy i terrorze. W rozmowach przy rodzinnym stole bardzo często poruszano wątki krytykujące ustrój panujący w kraju, w którym przyszło mi żyć i dorastać. Kiedy już uczęszczałem do szkoły średniej rozpocząłem samodzielnie konfrontować otaczającą rzeczywistość z opiniami słyszanymi w domu. Mój ojciec był żołnierzem Armii Krajowej i to on w głównej mierze uczył mnie postrzegania prawdziwych cech tego bandyckiego ustroju. Tym co najbardziej uderzało, to było totalne zakłamanie i atmosfera jeżeli nie wprost przemocy i terroru, to na pewno wszechmocy komunistycznej władzy. Od ojca słyszałem wiele o czasach powojennych - stalinowskim terrorze, „Żołnierzach wyklętych", wyrokach śmierci, ubeckich kazamatach i zwykłym ludzkim strachu wywoływanym samymi nazwiskami Bermana, Romkowskiego, Różańskiego, czy też Światły, który po ucieczce na Zachód o metodach stosowanych przez bezpiekę wiele opowiedział. Czasy mojej młodości przypadały na późnego Gomułkę, więc nie było już takiego terroru, ale pamiętam doskonale totalną cenzurę. Przez nią nawet o stalinizmie, okresie nie tak przecież odległym, nie można było przeczytać słowa prawdy. Nie tylko zresztą na ten temat, bo właściwie wszystkie gazety pisały to samo i tak samo, czyli wychwalały zdobycze socjalizmu, potępiały imperializm, nawoływały do walki o pokój itp.

Moim pierwszym spotkaniem z historią pisana przez duże „h", było bardziej przyglądanie się niż szczególnie aktywny udział w Wydarzeniach Marcowych 1968 roku. Chodziłem wtedy do klasy maturalnej III LO mieszczącego się przy ulicy Kochanowskiego. Pamiętam ten dzień i jeżeli mnie pamięć w tej chwili nie zawodzi, był to 8 marca. Wracałem ze szkoły do domu przy ulicy Floriańskiej i przechodząc przez Rynek natknąłem się na pochód protestujących studentów, do którego oczywiście dołączyłem. Wraz z tłumem dotarłem do Collegium Novum, gdzie w Auli i na przyległych korytarzach odbył się wiec. Niewiele z niego pamiętam, poza tym, że był na nim również ktoś z władz Uniwersytetu i że mówiono o zdjęciu „Dziadów", pobiciu studentów w Warszawie i cenzurze. Zapamiętałem też ogromny ścisk i ludzi w ubłoconych butach stojących na wyściełanych suknem fotelach, więc można by rzec, iż atmosfera była bardzo gorąca. Z Collegium Novum przeszliśmy do Rynku Głównego, gdzie pod Adasiem odbył się również wiec. Chociaż nie byłem jeszcze studentem, to jednak bardzo chciałem jakoś włączyć się i pomóc studentom. Poszedłem do „Żaczka" gdzie mieścił się komitet protestacyjny, a tam ludzie z służby porządkowej na moją ofertę pomocy odesłali mnie do domu, twierdząc przy tym, że to sprawa studentów i uczniów nie dotyczy. Było mi trochę szkoda, że nie jestem jeszcze studentem, a teraz wiadomo jak się ta sprawa dotycząca tylko studentów skończyła.

Później był 1 Maja i jak każdego roku kazano nam wziąć udział w pochodzie, z tą różnicą, że polecono przyjść w czerwonych krawatach. Ja oświadczyłem, że nie będąc członkiem ZMS nie mam obowiązku nosić czerwonego i krawata o takim kolorze na pewno nie założę. Straszono mnie niedopuszczeniem do matury i przyznam szczerze, że nawet wahałem się, czy nie ustąpić, ale ponieważ jeszcze jedna osoba odmówiła założenia tego krawata więc całkiem na poważnie się uparłem. Pomyślałem sobie wtedy, że nawet nie zdawać matury w dwójkę będzie raźniej, ale koniec końców dyrekcja ustąpiła. Zresztą bardzo pokrętnie tłumacząc swoja porażkę na froncie walki ideologicznej. Otóż mój wychowawca przekazał mi wiadomość, że ciało pedagogiczne po naradzie oświadczyło, iż nie jesteśmy godni brać udziału w pochodzie pierwszomajowym i dlatego nas z niego karnie usuwają. Oczywiście tylko się z tego ucieszyłem, a czas w którym odbywała się ta propagandowa maskarada przesiedziałem, w chyba jedynej w całym Krakowie czynnej kawiarni -„Fafiku". Była to pierwsza, młodzieńcza przecież próba publicznego przeciwstawienia się panującemu ustrojowi. Nie warta może nawet wspomnienia i jak do niedawna sądziłem całkiem nieważna, ale zmieniłem zdanie czytając swoje akta w IPN. Znajduje się w nich notatka z listopada 1968 roku sporządzona przez szpicla, który zagadnął mnie zapytując: „Czy coś mi się nie podoba?". Ponieważ działo się to w okresie świętowania kolejnej rocznicy Rewolucji Październikowej, a całe miasto pełne było komunistycznych haseł i tonęło w czerwieni, odpowiedziałem temu gościowi, że: „Jest za dużo czerwonego koloru". Ten cywil zacytował moje słowa, zaznaczając, że znalazł i zdemaskował wroga, element antypaństwowy i antysocjalistyczny. Wtedy wzięto mnie na przesłuchanie do siedziby SB przy ulicy Królewskiej, a w dostępnym dzisiaj protokole zaznaczono, że odmówiłem podpisania oświadczenia o zachowaniu w tajemnicy rozmowy, którą esbecy ze mną przeprowadzali. W tym protokole oczywiście nie ma zapisanych pogróżek jakie wtedy słyszałem, ale pamiętam, że straszono mnie nieukończeniem studiów, zmarnowaniem życia itp.

Ciekawostką wartą przytoczenia są zapamiętane przeze mnie ulotki wydawane przez nieznanego mi do dzisiaj człowieka, który podpisywał je jako „Komendant Armii Wyzwolenia". Jak na dzisiejsze czasy ten tytuł brzmiał dosyć buńczucznie, zwłaszcza, że były one drukowane dziecięcą drukarenką. Ale wtedy w 1968 roku czytając ją zastanawiałem się jaka to jest ta Armia Wyzwolenia, kto ją tworzy i cieszyłem się, że nie jestem samotny w moich zapatrywaniach. Po wielu latach dowiedziałem się od Adama Rolińskiego z Fundacji Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, że Komendantem Armii Wyzwolenia był jakiś chłopak z liceum.

W 1970 roku, w grudniu, po masakrze stoczniowców na Wybrzeżu razem z moim bratem organizowaliśmy demonstracje na Rynku Głównym. Wyglądało to w ten sposób, że podchodziliśmy do grupek ludzi i mówiliśmy, że o godzinie osiemnastej zbieramy się przy pomniku Mickiewicza. Wiadomości o tym co działo się w Trójmieście i Szczecinie rozchodziły się bardzo szybko i ludzie byli bardzo wzburzeni, dlatego też udało nam się zebrać znaczną grupę, przeważnie młodych ludzi. Z pod pomnika Mickiewicza przeszliśmy kilka rund dookoła Rynku skandując – „Powiesić Gomułkę i Cyrankiewicza!", „Ukarać morderców" . Przechodnie oczywiście kojarzyli nasze wystąpienie z tragedią na Wybrzeżu i niektórzy nawet się przyłączali. Ale nie trwało to długo, bo chociaż na początku nie było milicji, to po jakimś czasie nadjechało dużo bud i zaczęli nas okrążać, więc rozbiegliśmy się, żeby nas nie aresztowano. Nazajutrz udało nam się powtórzyć taką samą manifestację, ale wtedy służby były już chyba lepiej przygotowane, gdyż dosyć szybko doskoczyli do nas ormowcy wyposażeni w pałki, którymi ochoczo próbowali nas rozganiać. Pamiętam jak by to było dzisiaj lament jednego z nich, który tak zapamiętale kogoś okładał, że nie zdążył odskoczyć w porę, gdy tłum zmusił do ucieczki resztę jego towarzyszy. A kiedy już dostawał za swoje skamlał o litość krzycząc, że ma żonę i dziecko. Drugiego dnia pozamykano kilku uczestników demonstracji i oni kilka miesięcy później mówili mi, że bezpieka ma już mój rysopis i o mnie cały czas wypytuje. Na całe szczęście niewiele mogli o mnie powiedzieć, gdyż w ogóle ich nie znałem, bo po prostu organizując te demonstracje zaczepiałem przypadkowych ludzi.

Później, aż do 1976 roku nie działo się nic szczególnego, natomiast w 1976 po Radomiu i Ursusie odmówiłem udziału w wiecu potępiającym tzw.„Warchołów z Radomia", bo tak protestujących robotników nazywała komunistyczna propaganda. Pracowałem wówczas w biurze .. i wszystkich pracowników wezwano do uczestniczenia w tej obrzydliwej hucpie. Ponieważ współpracownicy i dyrekcja znali moje nastawienie, nie naciskano na mnie nawet zbyt mocno. Całą załogę zawieziono autobusami na stadion „Wisły', a nazajutrz od kolegów z pracy dowiedziałem się, że wśród zebranych na trybunach tysięcy ludzi znalazł się ktoś kto krzyczał głośno NIE w chwili czytania rezolucji potępiającej „Wichrzycieli z Radomia i Ursusa". Do dzisiaj nie wiem czy to prawda, czy też po prostu mnie tak podbierali.

Środowiska w których się wtedy obracałem zachowywały się podobnie. Starsi, którzy pamiętali terror okresu stalinowskiego obawiali się jakichkolwiek działań, a moi rówieśnicy po których należałoby się spodziewać więcej odwagi, przyjęli podobną postawę. Była taka przemożna pewność, że w tym kraju nic się nie zmieni. Najbliższe otoczenie znało moje poglądy, obserwowało samotne starania, chociażby przy przepisywaniu ulotek. Ale wielokrotnie w rozmowach ze znajomymi słyszałem, że musi minąć jeszcze sto lat zanim zacznie upadać ten system, który oczywiście nikomu z moich rozmówców się nie podobał. W latach siedemdziesiątych, właściwie do ich samego końca, panował wszechobecny marazm powodowany brakiem wiary w jakiekolwiek zmiany na lepsze. Bardzo często słyszałem, nawet od własnego Ojca opinię, że nie warto się wychylać, gdyż „Oni" mogą zrobić wszystko. Złamać karierę, wyrzucić z pracy, zamknąć w więzieniu, zniszczyć życie, okaleczyć, a nawet zabić. Dobrze wiedział co mówi, ponieważ przez długie lata żył w izolacji, nie należąc do jakiejkolwiek organizacji w PRL. Ludzie wokół mnie często śmiali się z moich starań, a pamiętam że po roku 1970 słyszałem nawet od niektórych bardzo cyniczne komentarze na temat poległych na Wybrzeżu. Przykro było słuchać, że stoczniowcy nie zginęliby gdyby nie zechciało im się strajkować. Owszem byłem samotny w tym swoim uporze, ale chciałem aktywnością wyrzucić z siebie bunt przeciwko wszechobecnemu zaprzaństwu, a chociaż cel, według powszechnego mniemania wydawał się bardzo odległy ja wcale w tym uporze nie ustawałem. Uporze wciąż samotnym, gdyż nic nie wiedziałem o tym, że myślący podobnie zaczęli zbierać się w grupy. Nie słuchałem wtedy jeszcze Wolnej Europy i nie miałem pojęcia o tym, że zaczyna się organizować jakakolwiek opozycja.

W 1977 roku, a więc po zabójstwie Staszka Pyjasa wyjechałem na wakacje do Wiednia. Gdzie trafiłem do Klubu Politycznego Knappa, był to podobno kapral z Armii Andersa. I tam dorwałem się wreszcie do prasy i książek, jakich nie mógłbym kupić, czy też wypożyczyć w kraju. Zaczytywałem się w Hłasce i Tyrmandzie, Sołżenicynie, a także w książkach opisujących II Wojnę światową, ponieważ tych wydawanych w Polsce nie dawało się czytać. Przez trzy miesiące chodziłem prawie codziennie do biblioteki przy tym klubie i karmiłem się prawdą, a byłem tej prawdy tak głodny, że wracając do kraju przemyciłem nawet kilka książek emigracyjnych, które wręczył mi Knapp, za pomoc przy organizowaniu stoiska książkowego klubu.

W 1978 roku napisałem list do Jacka Kuronia. Jego adresu dowiedziałem się z Wolnej Europy, bo chociaż strasznie ją zagłuszali, od czasu do czasu dało się jej posłuchać. Uważałem Kuronia i Michnika za głównych przywódców zorganizowanej opozycji, gdyż o nikim innym właściwie rozgłośnie nie wspominały. Po długim czasie bez odpowiedzi na ten list, zadzwoniłem do Warszawy i Kuroń poinformował mnie, że on w ogóle nie dotarł. Na poczcie zwrócono mi za niedostarczenie przesyłki całe sto złotych, które było jednak tylko jedną trzecią sumy uzyskanej przeze mnie kiedy indziej za nie dostarczony list do „Amnesty International". Napisałem więc kolejny list do Kuronia, dotarł bez przeszkód i on obiecał kogoś przysłać. Oczekiwanie na kogoś z opozycji trwało całe cztery miesiące i nie doczekałem się nikogo, ale za to odwiedziła mnie bezpieka. Rozmawiałem z Kuroniem przez telefon, a że rozmowa ta musiała być podsłuchiwana, więc SB uznała, że dosyć tej zabawy i trzeba się mną zająć. Przyszli przed siódmą rano 29.12.1978 r., ale ponieważ nie było mnie już o tej porze w domu, gdyż pracowałem wówczas jako rewident w Centrali Technicznej, zabrali mnie z pracy. Przyznam szczerze, że podczas tego długiego przesłuchania naprawdę obawiałem się o swoje życie. W biurze nie było żadnego świadka mojego zatrzymania, w domu też nikt nie wiedział gdzie się znajduję. Esbecy dosyć dobrze przygotowali się do tego spotkania, mieli wiele informacji, a pierwsze z nich pochodziły jeszcze z 1969 roku. To bardzo długie przesłuchanie szło w kierunku zmuszenia mnie do współpracy, padało wiele gróźb, szczegółów już nie pamiętam, tylko tą atmosferę potwornej presji i moje myśli, czy wyjdę żywy. Aby wydostać się z tego budynku podpisałem dwuzdaniową formułkę. Brzmiała ona mniej więcej tak: Według tygodnika „Prawo i Życia" działalność Jacka Kuronia jest przestępcza i o tej działalności będę informował. Oczywiście żadnych informacji o działalności Jacka Kuronia nie przekazywałem, natomiast od razu zgłosiłem się do wskazanej mi przez niego Róży Woźniakowskiej. Przy niej był również Lesław Maleszka. Opowiedziałem im o moim przesłuchaniu przez SB.

Przy następnych przesłuchaniach słyszałem od esbeków, że wszystko o mnie wiedzą, a co robię i z kim się spotykam nie jest dla nich żadną tajemnicą. Wtedy traktowałem te słowa trochę jak blef, ale po latach dowiadując się o prawdziwej roli Maleszki przekonałem się, że to ani blef, ani też przechwałki wcale nie były. U Róży Woźniakowskiej spotkałem się ze środowiskiem całego krakowskiego SKK. Sam Maleszka nie wzbudzał moich podejrzeń. Nawet w latach dziewięćdziesiątych, kiedy rozpoczął się proces ujawniania agentów, do końca nie dopuszczałem do siebie myśli, że on mógłby być kapusiem.

Po nawiązaniu kontaktu z Różą włączyłem się w działania krakowskiego SKS, który tworzyli w przeważającej większości młodsi ode mnie ludzie. Ja miałem wówczas 29 lat, żonę i dziecko, a oni co najwyżej po 23 lata i właściwie wszyscy studiowali. Jeżeli był między nami jakiś dystans wiekowy, to jednak nie odczuwałem go przy wspólnym działaniu. Jednym z jego przykładów była akcja ulotkowa w sprawie uwolnienia Kazimierza Świtonia. Pamiętam, że pojechaliśmy w 1979 roku w kilka osób do Katowic, i tam rozdzieleni w parach rozdawaliśmy ulotki z tekstem żądającym zaprzestania represji wobec założyciela pierwszych w Polsce Wolnych Związków Zawodowych. Poza tym przywoziłem książki z „Nowej", uczestniczyłem w zebraniach, które zdominowane były dyskusjami, a lepiej by chyba powiedzieć kłótniami pomiędzy Bronkiem Wildsteinem i Maleszką. Oni obydwaj byli autorami oświadczeń wydawanych przez SKS i często zdarzało się iż uzgodnienie jednobrzmiącej wersji takiego oświadczenia zajmowało im bardzo dużo czasu. Pamiętam, że nie były to bynajmniej spory o przysłowiowe przecinki. Szło o różne koncepcje pisania tych oświadczeń, w które przyznam szczerze, wcale się nie zagłębiałem. Coraz bardziej wiązałem się z środowiskiem SKS, nabierałem zaufania do działających w nim ludzi, oni musieli też mi ufać, gdyż pewnego razu byłem świadkiem takiej o to sytuacji. Wraz z Różą i Maleszką brałem udział w spotkaniu z jeszcze wówczas członkiem SKS Mariuszem Nowakiem, i w jego trakcie przysłuchiwałem się jak Maleszka zarzucał Nowakowi że jest on agentem. Nowak wił się jak piskorz i wypierał, a Leszek podawał przykłady przedsięwzięć i kontaktów, które wpadły tylko dlatego, że Nowak o nich wiedział. Nie przypominałbym może tej sytuacji, gdyby po trzech miesiącach nie okazało się, że Mariusz Nowak został kadrowym oficerem SB. Sam niedługo później widziałem jak wywoływał ludzi na przesłuchania, gdy nas kiedyś aresztowano w dużej liczbie, zapewne po jakiejś demonstracji. A wtedy pomny zasady według której jeden agent nie mógł demaskować innego, pozbyłem się jakichkolwiek obaw co do Maleszki. Mogę powiedzieć więcej, byłem przekonany o jego uczciwości i uważałem za osobę godną zaufania. Nigdy bym nie przypuszczał, że była to jakaś gra operacyjna mająca na celu najpewniej wzmocnienie agenta dla bezpieki znacznie cenniejszego. Jak teraz czyta się akta wygląda to wszystko inaczej niż w czasie, w którym tak bardzo myliły pozory reżyserowane przez służby.

Pomimo że, na poważnie zaangażowałem się w działania Komitetu, w miarę upływu czasu przestała mi wystarczać tego rodzaju aktywność. Czytanie książek, dyskutowanie o nich, wydawanie komunikatów, o których natychmiast wspominała Wolna Europa to było na pewno poszerzanie przestrzeni wolności, ale jednak chciałem czegoś więcej. Zapytałem Różę czy ktoś poza SKS jeszcze w Krakowie zajmuje się działalnością opozycyjną. Róża powiedziała mi, że owszem jest pewna grupa, ale to bardzo nieciekawi ludzie. Nie przytoczę dosłownie słów Róży, ale rekomendacja przez nią wydana każdego by zniechęciła do podjęcia kontaktów z tą grupą. Ja jednak wcale się nie zraziłem. Poprosiłem o adres i tak trafiłem na ulicę Meiselsa, gdzie pierwszą osoba na którą się natknąłem był Krzysztof Gąsiorowski.

Po wielu latach, czytając swoje akta dowiedziałem się, że ten człowiek skrupulatnie odnotowywał w swoich raportach TW najprzeróżniejsze zdarzenia, więc przypuszczam, że i o moim przybyciu na Meiselsa również doniósł na SB. Jak dotychczas nie dotarłem do takiego potwierdzenia, ale zdarza się, że w teczkach innych osób znajdują się materiały mnie dotyczące i są one w ogóle nie uwzględnione w mojej teczce. Sądzę, że przed IPN jest jeszcze bardzo dużo pracy, a stuprocentową kwerendę i tak będzie trudno dokonać. Jeżeli chodzi o akta, to uzyskałem z nich informację będącą może nie powodem do chluby, ale na pewno potwierdzeniem znaczenia jakie SB przykładało do mojej skromnej osoby. Otóż porucznik Ślusarczyk, który zakończył w stopniu pułkownika karierę w SB w 1990 roku, sporządził w 1980 roku listę zatrzymań ówczesnych członków Konfederacji. Występowały na niej nazwiska wielu działaczy, ale Krzysztofa Bzdyla znajdowało się na samym szczycie tej listy, gdyż obok niego widniała cyfra 17 zatrzymań. Nikt z pozostałych do tego czasu nie był tyle razy zatrzymany, najwyżej kilka razy, więc mogę powiedzieć, że nabyłem przez lata doświadczenia i wiedziałem jak wyglądają represje sbeckie. Te siedemnaście zatrzymań nie oznacza tylko siedemnaście pobytów w zatęchłych celach na milicyjnych dołkach, bo zdarzyło się też i tak, że po opuszczeniu jednego aresztu, przewożono mnie do kolejnego i tam rozpoczynałem kolejne 48 godzin. Było to jawne bezprawie nawet w tak bezprawnym systemie jakim był komunizm. Tłumaczyłem milicjantom, że tak nie wolno i że to jest bezprawie, bo ja właśnie skończyłem 48 godzin, ale oni mówili, że może i gdzie indziej skończyłem, ale u nich dopiero zaczynam. W ten sposób jednego razu zaliczyłem non stop ponad 100 godzin bezprawnego pozbawienia wolności. Gorzej wspominam warunki panujące w milicyjnych aresztach niż ludzi tamże spotkanych. Zdarzało się, że także i tam podsyłano agentów lecz zdecydowanej większości ten ustrój też się bardzo nie podobał, i słuchano chętnie moich wypowiedzi i przewidywań, że ten system musi upaść.

Jak już wspominałem w marcu 1979 roku zawędrowałem do krakowskiego punktu konsultacyjnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, gdzie poznałem Gąsiorowskiego. Jako że przybywałem z SKS co było dobrą rekomendacją uznano mnie za osobę godną zaufania więc wziąłem udział w rozmowach, w których otwarcie poruszano kwestię odzyskania niepodległości. Bardzo mi się to spodobało, to też powróciłem do SKS z pytaniem – dlaczego nie podejmujemy otwarcie tej ważnej przecież kwestii jaką jest odzyskanie przez naszą ojczyznę niepodległości? W SKS chyba obowiązywał kierunek działań proponowany, a może zadecydowany przez Michnika i Kuronia. A w ich zamierzeniach, o programie niepodległości nie było wcale mowy. Pamiętam spotkanie z Janem Lityńskim na którym twierdził on, że hasła niepodległościowe to awanturnictwo i wręcz samobójstwo. Co więcej! Przeciwko niepodległości używał szokujących mnie wówczas argumentów. Stwierdził, że nawet jeżeli udałoby się jakimś trafem ją odzyskać, to społeczeństwo jest tak ciemne, głupie, czarnosecinne i zacofane, że na pewno skończy się to jakąś nacjonalistyczna dyktaturą, pogromami i rozlewem krwi. Przedstawiał wizję motłochu i tłuszczy na ulicach, a dopiero za dwadzieścia, trzydzieści lat, kiedy społeczeństwo zostanie przygotowane poprzez edukację, dopuszczał ewentualne rozważenie sprawy niepodległości. Jak usłyszałem to wyznanie, ważnej dla krakowskiego SKS osoby, zrozumiałem, że moją organizacją będzie ROPCiO. Powoli zaprzestawałem aktywności w SKS, a polegała ona w tym czasie przede wszystkim na kolportażu Biuletynu Informacyjnego KOR i Robotnika.

W czerwcu lub lipcu 1979 roku spotkałem się z Leszkiem Moczulskim i Krzysztofem Gąsiorowskim i podczas rozmowy odbywającej się, z obawy przed podsłuchami na Krakowskich Błoniach, rozmawiałem z Moczulskim o programie zawartym w broszurze Rewolucja bez Rewolucji. Wtedy to otrzymałem od niego propozycję przystąpienia do sygnatariuszy - założycieli mającej wkrótce powstać partii politycznej Konfederacji Polski Niepodległej. Zaistniała natychmiastowa potrzeba skompletowania pięćdziesięcioosobowej listy ludzi, do tego jeszcze na tyle pewnych, tzn. takich którzy się z niej nie wycofają pod wpływem spodziewanych prześladowań SB. Oczywiście wyraziłem zgodę i zostałem sygnatariuszem i współzałożycielem Konfederacji Polski Niepodległej. Zresztą z Krakowa na tej liście ogólnopolskiej było najwięcej, bo aż dziesięć osób.

Ale zanim to się stało jeszcze w ramach działań ROPCiO uczestniczyłem w akcji balonowej podczas Papieskiej Mszy na Krakowskich Błoniach. O ile dobrze pamiętam była to inicjatywa Mariana Banasia. On miał grupę młodych ludzi i oni to wszystko przygotowali, ale z obaw o dekonspirację nie chcieli występować publicznie, więc ja będąc dobrze znany funkcjonariuszom SB podjąłem się jej wykonania. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale na pewno balony te sprawiały nam kłopoty, gdyż zbyt ciężkie liny którymi je trzymano na uwięzi powodowały, że wcale nie chciały się wznosić. Przez dłuższy czas wisiały nad naszymi głowami, aż w końcu postanowiliśmy je odciąć i wtedy dopiero wzniósł się ku niebu przyczepiony do nich dużych rozmiarów proporzec, na którym na amarantowym tle namalowany był z jednej strony orzeł w koronie, a z drugiej, o ile mnie pamięć nie zawodzi „Kotwica" znak Polski Walczącej. Pamiętam, że w akcji tej brała udział żona Leszka Moczulskiego, Roma Stachiewicz, Stanisław Palczewski i chyba Kściuczek ze Śląska, no i oczywiście Gąsiorowski. Naszym zamiarem było wyeksponowanie zakazanego wtedy symbolu Polski z czasów jej największej chwały i potęgi. Ten proporzec Orłem w Koronie symbolizował utraconą świetność, a znakiem Polski Walczącej dążenie do odzyskania tej świetności i przede wszystkim niepodległości.

Jesienią, a dokładnie pierwszego września powstaje Konfederacja Polski Niepodległej. W Krakowie większa część, a właściwie wszyscy członkowie ROPCiO przechodzą do Konfederacji, ale Ruch chociaż zaprzestaje faktycznej działalności, to jednak wciąż istnieje. Działo się tak dlatego, że członkowie Ruchu jednocześnie weszli do Konfederacji. Nie wszędzie w Polsce powstanie KPN odbyło się tak bezproblemowo. Grupa Czumy dosyć mocno przeciwstawiała się powstaniu Konfederacji, tak samo grupa Karola Głogowskiego z Łodzi. Kulminacja tego sporu nastąpiła na zjeździe ROPCiO, który odbył się 6 grudnia w domku Stanisława Tora przy ulicy Księcia Józefa. Jego przebieg zdominowała dyskusja, a chwilami nawet kłótnia, między innymi o to czy Ruch ze swoich funduszy zapłaci za kolegia, którymi ukarano działaczy występujących pod szyldem KPN podczas demonstracji 11 listopada. Wątkiem głównym był jednak sam fakt powstania Konfederacji. Używano wielu argumentów przeciwko zasadności powoływania partii politycznej. Mówiono, że to wystawianie się na strzał, że niepotrzebnie naraża na ogromne represje. No i przede wszystkim, że dajemy władzy pretekst do stosowania tych represji, rzucając jawne wyzwanie rządzącej komunistycznej partii. Pamiętam że Aleksander Hall powiedział, iż musi się zastanowić w gronie działaczy Ruchu Młodej Polski. On już wtedy był bardzo ostrożnym człowiekiem. Co ciekawe! Kiedy odpieraliśmy zarzuty, zwłaszcza te o osłabianie jedności Ruchu, przypomnieniem, że niemal równolegle z Konfederacją powstał Ruch Młodej Polski, odpowiedziano nam, że przecież RMP nie ma zamiaru obalać władzy PZPR! Co prawda kolegium mi zapłacono z funduszy ROPCiO, z zastrzeżeniem że uczyniono to wyjątkowo i na pewno po raz ostatni. To jednak to spotkanie w grudniu 1979 roku zaowocowało ostatecznym i trwałym podziałem środowiska.

Powodem, lub raczej pretekstem do ukarania przez kolegium grzywną w wysokości 3000 zł był nie tyle mój udział w demonstracji 11 listopada 1979, co znaczek KPN, który przyczepiłem sobie do płaszcza. Wszystkich znaczniejszych działaczy z Krakowa zamknięto tuz przed Dniem Niepodległości. Mnie spotkałoby pewnie to samo, ale udało mi się schować pod fortepianem. Dzisiaj brzmi to pewnie dosyć zabawnie, ale wtedy naprawdę nie było mi do śmiechu. Działo się to w mieszkaniu ciotki mojej żony na Osiedlu Oficerskim, i kiedy po mnie przyszli, wybawił mnie z opresji sporych rozmiarów instrument, pod który schowałem się za obrazami stojącymi na podłodze, słysząc dobijanie do drzwi. Esbecy weszli, pobieżnie sprawdzili wszystkie pomieszczenia w mieszkaniu i opuścili je ale oczywiście obstawili ulicę w tej willowej dzielnicy. Po jakimś czasie udało mi się wymknąć przez mieszkanie sąsiada, przeskoczyłem przez płot na ulicę Garczyńskiego. Przenocowałem u znajomego, który mieszkał nieopodal i nazajutrz, a była to chyba niedziela mogłem uczestniczyć w mszy św. na Wawelu. Tam okazało się, że bezpieka wyłapała również całą górę z SKS. Z KPN nie było prawie nikogo, a że miałem ze sobą przygotowany wcześniej transparent z napisem „Konfederacja Polski Niepodległej" to zdecydowałem się na poprowadzenie demonstracji. Ale wcześniej od młodszych eskaesowców usłyszałem, że jak KPN idzie to SKS się nie przyłącza. Na całe szczęście z powodu swojej wcześniejszej przynależności do SKS byłem tym ludziom znany i jakoś udało mi się z nimi dojść do porozumienia. Ustaliliśmy już wspólnie, że chociaż Nasi siedzą, to jednak my idziemy na plac Matejki pod Pomnik Nieznanego Żołnierza. Było nas wszystkich ze trzydzieści osób i jestem dla nich pełen podziwu, gdyż już na samym Wawelu pod Katedrą nie wiadomo skąd pojawił się pluton umundurowanych milicjantów. Byli co prawda bez bojowego rynsztunku, ale sam ten widok wzbudzał obawy co do dalszego przebiegu manifestacji. Nawet jedna spośród moich znajomych, w ogóle niezaangażowanych, których poprosiłem tylko o obserwowanie mających nastąpić wydarzeń, w chwili gdy ci milicjanci rozstawili się w tyralierę widziała młodą kobietę, która odwodziła kogoś kto chciał się do nas przyłączyć krzycząc do niego, żeby się nie mieszał bo „tam za chwilę poleje się krew". Jej słowa najlepiej znamionują atmosferę przemożnego strachu jaki panował w kraju w epoce późnego, ponoć łagodnego Gierka. Nie można więc się dziwić, że do Placu Matejki dotarła nas tylko garstka, ale dobrze pamiętam, że w gronie osób, które zdecydowały się na przemarsz znajdowała się pani Emilia Afenda, Jacek Skrobotowicz i Mieczysław Majdzik. Przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza czekały milicyjne budy i większość z nas zatrzymano. A za noszenie odznaki organizacji nieistniejącej za jaką kolegium uważało Konfederację, ukarano mnie trzytysięczną grzywną. Odwoływałem się od tego wyroku dowodząc, że noszenie odznak na przykład prawnie nieistniejącego już ZMS nie skutkuje karaniem więc dlaczego ja mam być za noszenie odznaki istniejącej partii politycznej, która wcale nie musi być rejestrowana, bo do jej funkcjonowania wystarczy samo zgłoszenie powstania. Niestety jak wiadomo wyroki sądów nawet tych najniższych instancji były w takich sprawach z góry ustalane i utrzymano to orzeczenie, na dodatek obciążając mnie kosztami postępowania odwoławczego w kwocie bodajże 250 złotych.

W tym czasie, tzn. od jesieni 1979 zacząłem organizować poligrafię. Podejmowałem pierwsze próby drukowania ulotek najpierw na powielaczu spirytusowym a następnie na matrycach białkowych. Nie za bardzo mi to wychodziło, aż w końcu Maleszka pomógł mi w ten sposób, że zapoznał mnie z Karkoszą. Oczywiście nie wiedziałem wtedy kim naprawdę jest Karkosza, a otrzymywałem od niego matryce nie przypuszczając, że o przekazaniu mi każdej sztuki donosił służbie bezpieczeństwa. W następnym roku udało mi się skompletować sprzęt. Wałki wytoczył Tomasz Baranek z KPN pracujący jako ślusarz w zakładach MADRO, ramki przygotował jakiś stolarz z poza Krakowa, a ja sam wypisywałem matryce na maszynie. Jako ekonomista wypracowałem system racjonalizujący proces wydawniczy. Wydrukowanie „Opinii Krakowskiej" wymagało użycia trzydziestu matryc, wykonanie całości było niewykonalne, więc połowę z nich przekazywałem grupie Ryśka Majdzika. Nie pamiętam już czy kontaktowałem się z nim sam, czy też przekazywałem je przez pośrednika. Po jakimś czasie wpadła ich drukarnia i oczywiście było na mnie. Spotkał się ze mną Mieczysław Majdzik ojciec Ryszarda i zarzucał mi, że złamałem życie młodemu człowiekowi, bo zleciłem mu drukowanie na którym Rysiek wpadł. Dzisiaj obowiązuje już inna wersja tych wydarzeń, ale wówczas za tą wpadkę mnie odsądzano od czci i wiary. To nie całe kłopoty jakie z tego powodu zwaliły mi się na głowę. Ponieważ dodrukowanie brakującej połowy stron tego numeru „Opinii" zajęło mi dużo czasu, Kierownictwo Akcji Bieżącej miało do mnie pretensje o wydanie nieaktualnego już numeru. Porzuciłem wszelkie racjonalizatorskie pomysły i od tego czasu drukowałem już wszystko w jednym miejscu to znaczy w mieszkaniu rodziny Baranków przy Alei Pokoju 6/40. Barankowie byli nieujawnionymi członkami Konfederacji, kontaktowali się tylko ze mną i w warunkach ścisłej konspiracji nasza współpraca szczęśliwie przetrwała do mojego aresztowania w grudniu 1980 roku.

W tym mniej więcej czasie podsunięto mi agenta. Był fotografem, nazywał się Jerzy Kawiński. Zwerbowany został przez SB jako TW „Stefan" specjalnie do nawiązania kontaktu ze mną. Ja już wtedy domyślałem się, że on jest agentem, ale pełną wiedzę na jego temat uzyskałem dopiero czytając akta. Otóż ten fotograf składał propozycje pomocy, napraszał się z chęcią współpracy, a nawet obiecywał załatwienie sitodruku. Kontakty z nim starałem się ograniczać tylko do mnie samego bo było mi wszystko jedno, czy jeden kapuś więcej na mnie donosi. Ale od czasu do czasu zdarzało się, że musiałem wysłać kogoś innego. Pewnego razu skierowałem do niego Andrzeja Fiszera, aby odebrał jakieś ulotki, chyba dotyczące wyborów i Andrzej wychodząc z mieszkania tego fotografa został zatrzymany bo esbecy czekali na niego na ulicy. W kierownictwie KPN w którym poza mną był Palczewski, Roma Kahl-Stachiewicz, Zygmunt Łenyk oraz Gąsiorowski, dwie osoby uznały, że być może to nie wina fotografa. Roma Kahl-Stachniewicz powiedziała, że to fotograf jest uczciwy, a ja jestem winny wpadki! Zabolały mnie te słowa, tym bardziej, że za nimi szło żądanie oddania całego sprzętu poligraficznego, co wyglądało jak eliminacja z działalności w Konfederacji, ale nie zamierzałem ustępować i cokolwiek oddawać. Uważałem tą sytuację za bardzo krzywdzącą, nie tylko zresztą mnie ale i KPN, ponieważ groźny kapuś zostawałby uznany za uczciwego człowieka. Dzisiaj po lekturze teczek wiadomo, jak bardzo mylne i krzywdzące były te podejrzenia.

Zdawałem sobie sprawę z nasycenia agenturą organizacji działającej jak najbardziej oficjalnie, z nieukrywanymi danymi swoich działaczy, podanym adresami punktów konsultacyjnych itp. Esbecja miała prawie nieograniczone możliwości rozpracowywania środowiska właśnie ze względu na jawna działalność. Jednakże według zaleceń Leszka Moczulskiego poligrafia, łączność i wszystko co dzisiaj nazywane jest terminem logistyka miało pozostawać w ukryciu. Z tego względu uważałem, że działalność donosicieli należy ograniczać demaskując, ale też nie ulegałem pewnego rodzaju psychozie. Nie przekonywało mnie rzucone bezpodstawnie, albo na bardzo nikłych przesłankach oskarżenie o agenturalność. Jedynie w stosunku do Gąsiorowskiego, po stosunkowo krótkim czasie nabrałem przekonania, że jest agentem. To zresztą, nawet nie pomijając wszelkiego zła, którego przecież mnóstwo wyrządził, jest bardzo ciekawa postać. Można by opracować całe studium psychologiczne na jego przykładzie. Ja myślę, że Gąsiorowski po wyjściu z więzienia w 1956 r. dał się złamać, bo przestał wierzyć w możliwość upadku PRL, i to dlatego stał się żałosnym, haniebnym i godnym pogardy człowiekiem. Poza tym chyba na jakimś etapie tej współpracy skalkulował, albo po prostu przestał wierzyć w to, że w tym kraju cokolwiek się zmieni. I wtedy oddał się donoszeniu bez reszty. Chociaż wypada zauważyć, że nie donosił wszystkiego i na wszystkich, tak jakby chciał z esbecją prowadzić jakąś grę. Ale oczywiście był narzędziem i wyrządził wiele krzywdy, podobnie zresztą jak Maleszka. Było w tym wszystkim coś z Orwella, którego jeszcze wtedy co prawda nie przeczytałem, ale jak już poznałem jego książki porównywałem je z sytuacjami naprawdę przeze mnie przeżywanymi. Przykładem niech będzie mieszkanie Dropiowskiego będące lokalem kontaktowym ROPCiO, a później KPN. Dropiowski wieloletni agent bezpieki, przyjmował zainteresowanych działalnością w opozycji, no i wreszcie sam szef – Gąsiorowski też był agentem. Czyż to nie scena żywcem przeniesiona z książki „Rok 1984"? Nie przekonują mnie padające dzisiaj argumenty o podwójnej roli niektórych agentów. Nie przyjmuję tłumaczeń, że rzekomo podjęli się współpracy, ale tak naprawdę pracowali dla „Naszej" strony. Nigdy nie uwierzę w to, że jakikolwiek człowiek został skierowany do podjęcia współpracy z esbecją po to tylko, żeby pracować na rzecz opozycji. Zrozumiałą jest współpraca pracownika SB, sprzątaczki, kierowcy itp. Przykładem niech będzie kapitan Hodysz z Gdańska. Natomiast z wielka rezerwą podchodzę do słów Leszka Moczulskiego o niejakim nieżyjącym już Zielińskim, który jakoby został przez Moczulskiego oddelegowany do współpracy. Agent nie może niczego się dowiadywać, gdyż jest prowadzony przez służby po to aby uzyskiwał informacje dla SB, a nie na odwrót. A tę rewelację Moczulskiego uznaję za jego wyraźnie mylną ocenę!

Następstwa wpadki Andrzeja Fiszera sprawiły, że prawie rozstałem się z Konfederacją. Stałoby się tak pewnie, gdyby nie nastąpił sierpień 1980 roku i jakbym to dzisiaj dyplomatycznie ujął „potrzeby wykorzystania przez KPN poligrafii którą ja tylko zorganizowałem. Pamiętam, że od około piętnastego sierpnia jeździł za mną samochód z esbekami. Oni mówili, że będą mnie do pracy dowozić i przywozić do domu. Nie korzystałem z ich „uprzejmości", która był niczym innym jak tylko demonstracyjną inwigilacją. Trwało to kilkanaście dni, a 29 zamknęli mnie na 48 godzin. Do prokuratury przywieziony zostałem w dniu podpisania Porozumień w Gdańsku i prokurator Patela zarzucając mi prowadzenie działalności antypaństwowej, informuje o zagrożeniu odpowiedzialnością karną i wręcza pismo z odnośnym tekstem. Ja mu odrzekłem, że nie prowadzę działalności antypaństwowej, a jedynie zgodną z prawem polityczną, do żadnej winy się nie poczuwam, niczego nie podpiszę i nie przyjmuję do wiadomości tych informacji o odpowiedzialności karnej. Zwolniono mnie, a wieczorem zobaczyłem w telewizji podpisywanie porozumień w Gdańsku. Oczywiście skojarzyłem swoje zwolnienie z tym wydarzeniem, a rozpoczynało ono okres, w którym poczułem się naprawdę w swoim żywiole. Założyłem „Solidarność" w Dzielnicowym Zarządzie Ekonomiczno Administracyjnym szkół, a było to biuro liczące około 50 osób. Przychodziłem na zebrania do MKZ i atmosferę tamtego czasu oddaje najlepiej sytuacja z zebrania przedstawicieli wszystkich Komisji zakładowych, kiedy wśród kilkuset ludzi na sali, na raz wstaje jeden z nich i zapytuje prezydium – Czy wolno już działać w „Solidarności" i czy nic nam nie grozi? Na co sala ryknęła gromkim śmiechem. Świadczyło to z jednej strony o wielkim entuzjazmie, ale z drugiej również o strachu panującym na prowincji i w mniejszych zakładach pracy. A było się czego obawiać, bo 21 września zamknęli Leszka Moczulskiego, tuż przed 11 listopada Tadeusza Stańskiego, a Szeremietiew zaczął się wtedy ukrywać. Rozmawiałem w KAB w Krakowie mówiąc, że trzeba coś robić, a w odpowiedzi słyszę, że na pewno ich wypuszczą. Nie czekając na nic wydrukowaliśmy, wspólnie z Radkiem Hugetem i rodziną Baranków, jak to kiedyś policzyłem około 50.000 ulotek z tekstem żądającym zwolnienia więźniów politycznych. Kolportowaliśmy je w całym mieście. Zaczęliśmy wkrótce po aresztowaniu Leszka Moczulskiego. Pamiętam, że najlepszym sposobem, było umieszczenie stosów ulotek na dachach tramwajów. Odbywało się to w ten sposób, że wchodziliśmy do tramwaju podczas jego postoju na przystanku. Otwieraliśmy pokrywę wywietrznika i wkładaliśmy tam odpowiednią ilość ulotek. Jak tramwaj ruszając z przystanku zaczynał przyspieszać te ulotki przepięknie szybowały w górę, by po chwili opaść nawet na przylegające do linii tramwajowej boczne ulice. Wykonywaliśmy takie akcje w parach, a ja najczęściej chodziłem na nie z Radkiem Hugetem. Jako, że władza wcale nie przejmowała się akcja informującą o uwięzionych, na zebraniu kierownictwa KPN zaproponowałem aby wpłynąć na „Solidarność", żeby na poważnie zajęła się tą kwestią, tym bardziej, że zamknęli w tym czasie ludzi z „S" – Sapełłę i Narożniaka. Byłem równolegle członkiem „Solidarności" i słyszałem jak Wałęsą podczas pobytu w Krakowie przyrzekał, że to na pewno załatwi i wystarczy tylko, że w rozmowach z władzami zażąda twardo uwolnienia Moczulskiego i będzie po całej sprawie. No ale oczywiście nic nie zrobił. Na co ja zdecydowałem, że pójdę do MKZ aby przekonać to gremium do ogłoszenia strajku w Regionie Małopolska. Uważałem, że sama groźba strajku może spowodować, że władza zmięknie i wypuszczą naszych działaczy.

Jednak zanim to się stało odbyło się zebranie kierownictwa krakowskiego KPN, o którego terminie nie zostałem powiadomiony, a zapadła na nim decyzja o zawieszeniu działalności Konfederacji. Decyzję motywowano w ten sposób, że reakcją władzy na zaprzestanie działalności KPN miałoby doprowadzić do wypuszczenia Moczulskiego i Stańskiego. A od Gąsiorowskiego dowiedziałem się, że mam się podporządkować tej decyzji, bo jeżeli tego nie zrobię to zostanę wykluczony z KPN. Mam pewność, że to Gąsiorowski otrzymał zadanie zneutralizowania radykalniejszej części opozycji, a pozostali dali mu się do tego pomysłu przekonać, albo po prostu się bali. Odpowiedziałem Gąsiorowskiemu, że muszę się nad tym wszystkim chwilę zastanowić, ale po rozmowach z Radkiem i Barankami, ale przede wszystkim po spotkaniu z Zygmuntem Łenykiem, który powiedział, że chociaż podpisał decyzję o zawieszeniu to jednak się wycofał z niej, postanowiliśmy nie zaprzestawać działać, czyli głównie drukować i kolportować.

Właśnie z drukowania wracałem 6 grudnia 1980, kiedy w moim mieszkaniu zastałem „kocioł" i zostałem aresztowany. Spędziłem noc w komendzie na ulicy Batorego, a nazajutrz odwieziono mnie do Warszawy. Jeszcze w Krakowie miałem do czynienia z Jerzym Stachowiczem, wtedy początkującym esbekiem, który ostatnio zasłynął jako ekspert komisji posła Czumy. W Warszawie, po pobycie w Pałacu Mostowskich skąd przed upływem 48 godzin od zatrzymania zawieziono mnie do MSW, gdzie prokurator przedstawił mi zarzuty i zapytał czy mam coś do powiedzenia. Odmówiłem zeznań. a potwierdziłem tylko dane osobowe i stwierdziłem, że należę do Konfederacji. Tenże prokurator wręczył mi postanowienie o tymczasowym aresztowaniu i zawieziono mnie już wieczorem do nieodległego więzienia na Rakowieckiej, gdzie przesiedziałem pół roku w jednej i tej samej celi. Wiem, że na tym samym oddziale był Moczulski i jego tylko raz jeden widziałem na korytarzu. Na III Pawilonie siedział też Stański, Jandziszak, Goławski i zamknięty w końcu stycznia Szeremietiew. Przesłuchiwał mnie wspomniany wcześniej Stachowicz. Mówiłem mu o zadaniach i celach KPN zawartych zresztą w oficjalnych dokumentach programowych, a kiedy odmówiłem udzielania informacji o osobach tworzących tzw. tajną strukturę i należących do Konfederacji powiedział, że na szykowanym procesie poleci moja głowa i jeżeli nie martwię się o siebie to powinienem zadbać o rodzinę bo jej też może się coś złego przydarzyć np. śmiertelny wypadek. Na co mu odpowiedziałem, iż ja być może z więzienia żywy nie wyjdę, ale on na pewno będzie wisiał za to co wtedy robił. Musiało to poskutkować bo ten bydlak już więcej na przesłuchanie mnie się nie zdecydował. Wiele lat później przy okazji skandalu z nim związanego poszperałem trochę i dowiedziałem się, że ten Stachowicz był bardzo skutecznym esbekiem. Miał największą liczbę „sukcesów" polegających na wyciąganiu informacji i przyznawaniu się do „winy" przesłuchiwanych przez niego osób. Myślę, że wielu ludzi mogło po prostu nie wytrzymywać gróźb uczynienia krzywdy rodzinie. Ale nie wszystkich przecież łamał w ten sposób, pewnie też używał jakichś podstępów, żeby zmuszać do sypania. Wybitnie obrzydliwa postać, a wiele o obecnej Polsce mówi dzisiejszy status tego człowieka. Nie spodziewałem się, że w Niepodległej Polsce doczekam chwili, w której takie indywiduum zostanie ekspertem dla komisji Sejmu Rzeczpospolitej.

Przez pierwsze trzy miesiące nie dostałem ani jednego listu, nie przeczytałem nawet, żadnej gazety. Dopiero na początku czwartego dostałem mnóstwo korespondencji i zobaczyłem się z żoną. Widzenie odbywało się w obecności ubeka i trwało pół godziny, raz w miesiącu, a próba wypowiedzenia jakiegokolwiek nazwiska, czy informacji, kończyła się jego interwencją i groźbą zakończenia widzenia. W międzyczasie postawiono mi zarzut obalenia przemocą ustroju państwowego oraz inne o lżenie i podważanie zaufania do organów władzy itp. To była moja pierwsza odsiadka i nie miałem wtedy żadnego więziennego doświadczenia, więc pewnie dlatego podsunęli mi do celi konfidenta. Co prawda podejrzewałem wtedy współwięźnia, ale dopiero czytając akta to podejrzenie potwierdziłem. Strażnicy więzienni tam na Rakowieckiej znacznie się różnili wyszkoleniem od spotkanych przeze mnie w innych więzieniach. Prawie się nie odzywali i w ogóle nie używali nazwisk osadzonych, a na korytarzu panowała niemal absolutna cisza. Wiosną rozpocząłem głodówkę. 31 marca odbywał się strajk ostrzegawczy związany z wydarzeniami w Bydgoszczy. A ja słysząc bicie dzwonów i wycie syren byłem pewien, że wkrótce nas wszystkich wypuszczą. Jako, że wcale się tak nie stało rozpocząłem protest głodowy, mając nadzieję, że gdy dowie się o nim ktoś na wolności, zostanie podjęta akcja o nasze uwolnienie. Po dziesięciu dniach bezowocnego oczekiwania zaprzestałem głodówki uznając, że szkoda zdrowia jeżeli i tak nie można tym sposobem niczego wskórać. Po upływie pół roku zwolniono mnie w terminie zakończenia sankcji prokuratorskiej, a chociaż podtrzymano zarzuty, to jednak do czasu rozprawy miałem przebywać na wolności. Ten pierwszy pobyt w więzieniu pomógł mi wejść w klimat i zrozumieć książki Kafki. Kiedy jako nastolatek czytałem „Proces" nie mogłem sobie wyobrazić takiej rzeczywistości, a wtedy w 1981 przyszło mi jej na co dzień doświadczać. Po pół roku, 2 czerwca nie przedłużono sankcji prokuratorskiej i opuściłem Rakowiecką, skąd natychmiast po zwolnieniu wróciłem do Krakowa.

Ze smutkiem przyjmowałem brak jakiejkolwiek aktywności Konfederacji w sprawie mojego uwolnienia. Od Radka dowiedziałem się, że otrzymał wyraźne polecenie nie podejmowania żadnych akcji, a podporządkował mu się bo jak powiedział musiał słuchać kierownictwa. Odbył się jednak marsz również i w mojej obronie zorganizowany przez Komitet Obrony Więzionych Za Przekonania, za który zaraz po wyjściu podziękowałem ludziom z tego komitetu.

Ze swoich akt, odtwarzam przebieg wydarzeń podczas mojej nieobecności w Krakowie. Znalazłem w nich między innymi notatkę jeszcze z 2 grudnia informującą o pobycie Radka Hugeta w Warszawie. Znajduje się w niej cytat z wypowiedzi Radka na spotkaniu z ludźmi z KPN i on stwierdził - .. nawet jeżeli, ci tchórze podpisali zawieszenie, to ja z Krzyśkiem Bzdylem działamy dalej. Kolejny meldunek pochodzi z 8 grudnia i informuje o nakazaniu Radkowi Hugetowi zaprzestania działalności i oddaniu sprzętu poligraficznego. Z akt dowiedziałem się również, że w ramach uwiarygodnienia Krzysztofa Gąsiorowskiego planowano umieszczenie go w szpitalu. No bo jak to by wyglądało, że z Krakowa zamykają Bzdyla a oszczędzają szefa krakowskiego KPN. SB chodziło też o wybawienie Gąsiorowskiego od mającego się wkrótce odbyć procesu działaczy KPN.

Natychmiast po zwolnieniu powróciłem do działania w Konfederacji, która ponownie się uaktywniła. Trochę mnie zdziwiła ta zmiana decyzji Gąsiorowskiego, który uznał, że teraz po pół roku już można działać i właściwie do końca nie wiadomo było dlaczego nie można było wcześniej. Poznałem wtedy Michała Żurka, nieżyjącego już dzisiaj kierowcę autobusu, a wtedy szefa „Solidarności" w MPK w zajezdni na Czyżynach. On pomógł dostać mi pracę w Zakładzie Transportu Wewnętrznego MPK. Do wcześniejszej nie mogłem wrócić, a w MPK pani dyrektor ds. pracowniczych (nazywała się Kostro) powiedziała, że takich ludzi co wyszli z więzienia w MPK nie zatrudniają i nigdy tam nie zostanę przyjęty. Michał Żurek kiedy mu o tym powiedziałem poszedł do jej gabinetu i zapytał ją - Czy mamy palić komitety i wieszać komunistów, żeby tacy ludzie jak Bzdyl mieli pracę? Dyrektorka była nieugięta, a główny dyrektor powiedział mi, że wezwano go do komitetu wojewódzkiego, gdzie dowiedział się, że jak zatrudni Bzdyla to sam zostanie zwolniony. W końcu Solidarność MPK zagroziła strajkiem i w następstwie tej groźby otrzymałem pracę. Jednakże dyrektor MPK faktycznie, zapłacił za to stanowiskiem, bo kilka miesięcy później na początku stanu wojennego został zwolniony.

Brałem udział w zebraniach „Solidarności" i chociaż nie pełniłem w „S" żadnej funkcji, bo było już po wyborach to byłem honorowany i przyjmowany jak gość specjalny. We wrześniu i październiku 1981 roku do zakładów pracy wkraczali komisarze wojskowi. Zorientowałem się o co chodzi i jak się później okazało nie myliłem się przypuszczając, że to jest rozpoznanie terenu przez władze, a następnym etapem będzie rozbicie zakładów pracy przez wojsko. Wobec tego stanu rzeczy razem z Radkiem Hugetem wydrukowaliśmy ulotki żądające wycofania komisarzy. Była to moja inicjatywa, ale podpisałem tekst w imieniu Kierownictwa Akcji Bieżącej Rozrzucali je Radek Huget, kierowca o nazwisku Zmarlik i jeszcze ktoś kogo nazwiska dzisiaj już nie pamiętam. Była to pożądana akcja. Niestety dwie osoby zostały zatrzymane przez SB i otrzymały sankcje prokuratorskie. Podczas zebrania Kierownictwa Akcji Bieżącej mówiono, że to samowolne działanie, narażanie ludzi itp. Gąsiorowski najpierw chciał mnie usunąć, albo co najmniej zawiesić. Jedynym, który poparł mnie był Michał Żurek tłumacząc Gąsiorowskiemu, że niedawno wyszedłem z więzienia i trzeba być szalonym, żeby mnie teraz wyrzucać czy zawieszać. Na spotkaniu tym ustalono, że ponieważ kolportowali oni moje ulotki, to powinienem ich teraz wyciągnąć. Zwróciłem się więc do Michała Żurka i po jego obietnicy, że MPK zastrajkuje jeżeli zajdzie taka potrzeba, poszedłem do siedziby Solidarności, a tam wyłożyłem sprawę całemu chyba Zarządowi Regionu. Pamiętam, że na tym spotkaniu był między innymi Sikora, Bogusław Sonik i na pewno Kuś. Odpowiedziano mi dosyć zniechęcająco twierdząc, że to sprawa polityczna!? Na co ja, tłumaczyłem im, że to nie żadna sprawa polityczna, ale chodzi o podstawowe prawa człowieka i łamane przez władze prawo do wolności słowa. Trochę czasu trwało zanim wszyscy się wypowiedzieli, a pamiętam że jednym z niewielu, którzy nie zabrali głosu był Bogusław Sonik. Słuchał uważnie, obserwował, ale nie zajął żadnego stanowiska. Ja natomiast zapewniłem zebranych, że mamy poparcie załogi MPK i chodzi tylko o to, aby ktoś z ZR poszedł razem ze mną do prokuratury z pismem żądającym uwolnienia aresztowanych podpisanym przez „Solidarność", z którą władza jednak bardziej się liczyła niż z Konfederacją. Poszliśmy w cztery osoby, wśród których na pewno znajdował się Kuś, do prokuratury, żeby spotkać się z samym prokuratorem wojewódzkim. Wręczyliśmy mu nasze pismo, a ten powiedział, że doskonale wie kto wysyłał tych ludzi z ulotkami. Mówiąc to patrzył na mnie, ale odparłem, że ci ludzie muszą wyjść, bo jeżeli nie będą natychmiast zwolnieni zostanie ogłoszony strajk. Na co prokurator oświadczył, że nie da się zastraszyć i dopóki on jest prokuratorem nikogo nie wypuści! Działo się to trzy dni przed przewidywanym terminem strajku, a nazajutrz wypuszczono ich chociaż siedzieli na sankcjach, których koniec przypadał na drugą połowę grudnia. Oznaczało to, że władza przerażona perspektywą zatrzymania komunikacji miejskiej uległa żądaniom, które z taką pewnością siebie odrzucał dzień wcześniej prokurator. Pomyślałem wtedy i tak zresztą myślę do dzisiaj, że gdyby dokonano podobnych starań, kiedy ja siedziałem z pewnością zwolniono by mnie wcześniej.

Nie mogę nie wspomnieć o obchodach Święta Niepodległości, zwłaszcza te w 1980 roku, ze względu na spontaniczność i radość z świętowania najbardziej mi się podobały. W 1981 były już bardziej zorganizowane. Pamiętam ogromne tłumy ludzi i przemawiającego pułkownika Herzoga oraz niestety także rzecz nieprzyjemną, jaką była scysja z jednym członków Komitetu Opieki nad Kopcem J.Piłsudskiego, z Waksmundzkim Otóż Komitet organizował obchody, a on, kiedy poprosiliśmy o możliwość wygłoszenia przemówienia również przez przedstawiciela Konfederacji orzekł, że dla KPN nie ma tutaj miejsca. Oczywiście po rozmowie ze mną zmienił zdanie, a w imieniu Konfederacji przemawiał wtedy Kazimierz Zmarlik.

Późną jesienią 1981 roku przeczuwałem, że sytuacja coraz bardziej zmierza ku jakiemuś siłowemu rozwiązaniu ze strony władzy. Komisarze wojskowi w zakładach byli jakby forpocztą tego co ma nastąpić, ale nie wiedziałem jak szybko uderzą. Poszedłem do „Solidarności" aby ostrzec i powiedzieć, żeby się przygotowali. Na co moi rozmówcy w ZR, wśród których znajdował się też Sonik, mówili mi, że jestem po pobycie w więzieniu bardzo przewrażliwiony i żebym się nie niepokoił bo mają wszystko pod kontrolą. O tym jak byli przygotowani i na czym polegała ta kontrola mogliśmy przekonać się już wkrótce bo 13 grudnia.

Wieczorem 12 grudnia pracowałem jako dyspozytor i około godziny 21 odebrałem telefon z Zarządu Regionu, w którym ktoś informował, że jacyś obcy ludzie tam przyszli, nie chcą wyjść i żeby jak najszybciej przysłać pomoc w formie pracowników. Poleciłem im zadzwonić do Huty, bo w sobotę wieczorem nie było w zajezdni prawie nikogo. Jednocześnie dowiedziałem się, że w biurowcu zbierają się ormowcy z MPK i ponoć przechwalają się, że dostali broń i będą się z „Solidarnością" rozprawiać. Nie brałem tych słów na poważnie. Uważałem, że to kolejny przedwczesny alarm, więc po zakończeniu pracy o 22.00 poszedłem do domu, a o godzinie 2 nad ranem ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Powstrzymałem żonę przed otwieraniem, a że dzieci tej nocy przebywały u mojej teściowej, zachowywaliśmy absolutną ciszę. Po dłuższej chwili dobijanie ustało i po bardzo ostrożnym wyglądnięciu na klatkę schodowa zobaczyłem jakiegoś faceta stojącego na parterze. Wróciłem więc do mieszkania i przy wygaszonych światłach przesiedziałem w nim do samego rana. Obserwowałem zmieniające się samochody tajniaków pod domem, a o ósmej rano okazało się, że wszyscy odjechali. Po odczekaniu godziny poszedłem do znajomych, aby zorientować się kto strajkuje i jak związkowcy zareagowali. Zaskoczony byłem bardzo niewielką skala protestów, Bo strajkowała Huta i z pięć zakładów, a ja sądziłem, że powinno ich być wielokrotnie więcej. Zastanawiałem się, którą drogę wybrać: albo ukrywanie się, co w tamtej chwili, beż wsparcia zorganizowanej struktury, wydawało mi się mało racjonalne, albo przyłączenie się do strajku. Zdecydowałem się na to drugie.

Do zajezdni w Łagiewnikach z samego rana w poniedziałek podwiózł mnie Jacek Swałtek. Zanim doszedłem na miejsce zobaczyłem wyjeżdżające tramwaje, a spotkani przy bramie ludzie z KPN powiedzieli mi, że to partyjni obsadzili wozy a naszych jest za mało i nie poradzimy sobie. Trzeba było ludzi zebrać, przemówić do nich i przede wszystkim nakłonić do strajku. Byli wystraszeni karami grożącym za protesty, bo MPK zmilitaryzowano i za odmowę wykonania rozkazu wojskowego w warunkach bojowych, jak to stwierdził prokurator groziła nawet kara śmierci! Poszedłem najpierw do Zakładu Transportu, gdzie nie musiałem nawet długo przekonywać, bo ludzie zgodzili się na strajk i stamtąd już grupą przeszliśmy na zajezdnię tramwajową. Tam poszło z początku znacznie trudniej. Najpierw chcieliśmy gdzieś zebrać wszystkich przebywających w zajezdni. Zaproponowałem świetlicę, a ludzie mówią mi, że kierownik zabrał klucze od świetlicy, żeby żadnych zebrań nie urządzać. Poleciłem wtedy pracownikowi, aby poszedł do kierownika i zagroził wyłamaniem drzwi. To poskutkowało i kierownik dał klucze. W świetlicy mówiłem o bezprawności stanu wojennego i nielegalności jego przepisów. To chyba ludzi trochę uspokoiło, bo wszyscy ci którzy nie wyjechali na trasy zdecydowali o przyłączeniu do strajku. Także przychodzący w ciągu dnia nie podejmowali pracy, a wszystkie zjeżdżające tramwaje z zajezdni już nie wyjeżdżały. Wieczorem w poniedziałek w mieście nie było już ani jednego tramwaju z Łagiewnik.

Telefony były wyłączone, ale mieliśmy wewnętrzną linię MPK i jakoś wieczorem odebraliśmy telefon, że w nocy zaatakuje nas ZOMO. Mieliśmy plan obrony w którym uwzględnialiśmy nawet wysadzenie w powietrze stacji benzynowych, ale ze względu na bliskość bloków mieszkalnych porzuciliśmy ten pomysł. Następnym sposobem miało być przecięcie kabli zasilających zajezdnie i trakcje tramwajową, ale nie za bardzo wiedzieliśmy jak to zrobić, bez narażania ludzi na utratę życia. Rozmawialiśmy też o użyciu dźwigów do przewracania wozów tramwajowych. Po namyśle zrezygnowaliśmy jednak z wszelkich rozwiązań siłowych, aby władze nie miały pretekstu do oskarżania nas o niszczenie mienia. Z każdą następna godziną strajku ubywało ludzi w nim uczestniczących. Uciekali, ale poleciłem straży nikogo nie zatrzymywać, uznając, że lepszy jeden odważny od dziesięciu tchórzy. Zostało nas niewielu bo około 200. Widząc jak się sprawy mają ułożyłem Rotę przysięgi na Krzyż i po wspólnej modlitwie składaliśmy ją wypowiadając przed Krzyżem m.in. te słowa: Przysięgamy na ten Krzyż, że pracy nie podejmiemy. Działo się to około 2 w nocy, a o 3 wkroczyło ZOMO. Próbowałem przemawiać, lecz niewiele to dało bo w zasadzie było już po strajku.

Dwie godziny później tramwaje ruszyły na trasy, a ja zostałem zatrzymany. Z Łagiewnik zawieziono mnie najpierw do komendy na Mogilską o potem do więzienia w Nowym Wiśniczu. Pierwszy tydzień w więzieniu spędziłem jako internowany, ale po tygodniu przywieziono mnie do prokuratury wojskowej w Krakowie, gdzie podpułkownik Drabik szef prokuratury chciał mnie przesłuchiwać, ale powiedziałem mu że stan wojenny jest nielegalny, a on jest zdrajcą. Na co Drabik się spienił, kazał mnie wyprowadzić i z sankcją prokuratorską trafiłem do aresztu na ulicy Montelupich. Tym razem na znacznie dłużej bo 18 miesięcy. Za organizację strajku Sąd Wojskowy Skazał mnie na karę trzech lat pozbawienia wolności, a odbywałem ją przebywając w więzieniach w Krakowie, Raciborzu, Strzelcach Opolskich, Kłodzku i Strzelinie skąd dzięki amnestii wyszedłem 2 sierpnia 1983 roku. Z pobytu w tych miejscach zapamiętałem nieprzychylny stosunek większości strażników więziennych. Nie jeden raz słyszałem, że najpiękniejszym dniem w ich życiu miałby być ten, w którym pozwolą im takich jak ja powystrzelać. Nieliczni zachowywali się w porządku, a pamiętam że jeden, który po cichu mówił nam, że solidaryzuje się z nami, po niecałym tygodniu zniknął. Częsta zmiana miejsca pobytu to też była forma represji. A doświadczałem ich więcej niż pozostali, bo ktoś z SB czuwał, aby spotykały mnie represje, jak brak zgody na przynoszenie jedzenia z widzeń, brak widzeń i przeniesienie mnie do rygoru obostrzonego dla niebezpiecznych skazanych. Po wyjściu z więzienia w Kłodzku 3.08.1983 r. natychmiast zabrałem się za robotę. Zorientowałem w sytuacji w jakiej znalazła się Konfederacja, a właściwie zobaczyłem jakie zmiany w niej zaszły. Spotkałem się z Zygmuntem Łenykiem i Ryszardem Bocianem. Były różne propozycje odnośnie składu Kierownictwa Akcji Bieżącej Obszaru II Południe, ale nie zgodziłem się z propozycją Bociana, aby Zygmunta Łenyka pozostawić poza składem KAB mimo, że zagroził własnym odejściem w wypadku niespełnienia jego warunku. I tak też się stało. Ryszard Bocian zawiesił swoją działalność w Konfederacji, gdyż nie zgodziłem się na jego propozycję, bo uważałem ją za złą. Oczywiście doceniałem wszystko co Ryszard zrobił dla Konfederacji w początkowym okresie po ogłoszeniu stanu wojennego. Jednak zasługi nie mogą służyć za uzasadnienie takiej decyzji. Sam Ryszard Bocian był przyjęty przeze mnie do KPN niecałe dwa lata wcześniej.

W tym samym czasie usunięto z KPN Gąsiorowskiego ze względu na bardzo poważne dowody wskazujące na jego agenturalną działalność. Stanisław Palczewski również przestał wchodzić w skład KAB i Roma Kahl-Stachniewicz, która po wyjściu z internowania nie podjęła żadnej działalności.

Ówczesne kierownictwo tworzyliśmy wspólnie z Zygmuntem Łenykiem i Witkiem Tosiem. Witold Toś był wspaniałym młodym człowiekiem urodzonym w 1956 r., a więc młodszym ode mnie o sześć lat, piszącym wiersze. W stanie wojennym był również więziony. W 1985 r. zginął w tzw. niewyjaśnionych okolicznościach. Podejrzewam, że został zamordowany przez Służby Specjalne PRL. W 1983 r. musiałem wtedy znowu załatwiać jakieś lokale do drukowania, bo mieszkanie Baranków było spalone, a oni przebywali w więzieniach, a o lokale było coraz trudniej. Ludzie coraz bardziej bali się represji. Współpracowałem wtedy z Marianem Stachem i znaleźliśmy mieszkanie w okolicach placu Centralnego, a później w domu jednorodzinnym u pani doktor chemii w pobliżu ulicy Wrocławskiej. Zajmowałem się wtedy drukowaniem kartek okolicznościowych i ulotek, poza oczywiście pismem KPN. Zostałem również wybrany szefem Kierownictwa Akcji Bieżącej naszego Obszaru Południe. Od mojego wyjścia z więzienia Ksiądz Jancarz zapraszał mnie na spotkania do Kościoła w Mistrzejowicach. Długi czas się opierałem uważając to miejsce za zbyt nasycone agentami, ale w końcu zacząłem tam chodzić. Już wtedy powoli dojrzewała we mnie myśl o wyjeździe z kraju. Nie znajdowałem nowych chętnych i możliwość wywalczenia niepodległości wydawała się odsuwać coraz dalej. Nie ukrywam, że zacząłem coraz bardziej bać się o własne życie. Czytając teraz akta, nie znajduję w nich wiele meldunków o mnie z 83 i 84 roku, ale wówczas byłem pewien, że jeżeli esbecja miałaby zlikwidować w Krakowie kogoś dla przykładu, dla wystraszenia innych, to w pierwszej kolejności to będę ja. Pamiętali jak im mówiłem w czasie przesłuchań, że jak przyjdzie Niepodległa Polski to oni wszyscy będą wisieć i wiedziałem dobrze, że mi tego nie zapomną. W tych latach od czasu do czasu kogoś zabijali „nieznani sprawcy", ale wszyscy wiedzieliśmy, że była to robota SB. Oni likwidowali najbardziej radykalnych i tych, którzy mieli największy posłuch u ludzi, a ja na pewno byłem bardzo radykalny. Pamiętam pytanie esbeka zadane mi kiedy zgodziłem się na wyjazd – Jak pan wyjeżdża, to kto nas teraz będzie wieszał? Na co odpowiedziałem, że pozostaje wielu innych i na pewno będziecie wszyscy wisieć! I nie były to bynajmniej żarty, ale całkiem na poważnie wymieniane zdania. Słyszałem też od nich, że nawet jak przyjdzie nowa władza to oni pozostaną bo będą dalej potrzebni. Uważałem, że tak nie będzie, że zostaną ukarani w niepodległej Polsce. Niestety okazało się, że oni lepiej przewidywali jaka będzie III RP i w jakimś stopniu wygrali.

W lipcu 1984 otrzymałem paszport. A 14 sierpnia wyjechałem najpierw do Niemiec, skąd po dwóch tygodniach dotarłem do Saint Louis w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkałem przez 22 lata. Tam obracałem się głównie wśród Amerykanów, ale nie straciłem kontaktu z Polonią. Chodziłem do Polskiego Kościoła, a do 1989 roku wydawałem pisemko „Wolna Polska". Zaraz po przyjeździe zostałem nawet reprezentantem KPN na Saint Louis i byłem w stałym kontakcie z Markiem Ruszczyńskim z Nowego Jorku przedstawicielem Konfederacji na USA. Do dzisiaj mam całe sterty korespondencji związanej z tą działalnością. Pamiętam, że usiłowałem przez Kulturę Paryską dokonać wpłaty na rzecz Konfederacji. Wysłałem taki przekaz, ale w odmownej odpowiedzi zawarto stwierdzenie że taka organizacja jak KPN już nie istnieje i dlatego nie mogą tych pieniędzy przekazać. Zawiadomiłem o tym kierownictwo KPN i oni wycofali się z tej wersji, zastępując ja inną, zresztą nie mniej pokrętną tłumacząc, że nie mają nikogo, kto mógłby przewieźć te pieniądze do Polski. W następnych latach należałem do POMOSTU organizowanego przez Jarmakowskiego, myśleliśmy nawet o jakichś akcjach, ale jak to z Polakami na obczyźnie bywa, wystarczyło, że raz się pokłócili i nic z tego nie wyszło. Po 1989 pomyślałem sobie, że jeżeli już do tych Stanów przyjechałem to nie po to żeby po pięciu latach wracać. Pozostałem tam na kolejnych kilkanaście, ale cały czas żyłem polskimi sprawami i często przyjeżdżałem do kraju. A w pewnym momencie życia zrozumiałem, że w Stanach zawsze będę czuł się obco i postanowiłem jednak wrócić.

Obecnie uczestniczę w działaniach Związku Konfederatów Niepodległej i boleję nad kłótniami toczonymi w środowiskach niepodległościowych, bo zjawisko to dotyczy również ludzi z dawnego KPN. Wiem, że trzydziesta rocznica jest dobrą okazją do zgody i wspominania samych chwalebnych dni, ale niestety nie w każdym przypadku czas zdoła zaleczyć rany. Spotykam się z ludźmi Konfederacji, z niektórymi się przyjaźnię i oczywiście nie żałuję ani jednej chwili poświęconej tej wielkiej sprawie jaką jest Niepodległość. Kiedy już teraz mamy Niepodległość, to od nas zależy jaka będzie Polska i nie można pozostawać biernym. Ja nie pozostaję. Od nas zależy ile wolności i sprawiedliwości będziemy mieli, jak uczciwy będzie nasz kraj. To wszystko należy zdobywać, a jak zdobędziemy należy bronić stale.